

SERIA
RIZZOLI
I ISLES

TESS GERRITSEN

NAJBARDZIEJ ZNANA NA ŚWIECIE
AUTORKA KRYMINAŁÓW MEDYCZNYCH

DOLINA UMARŁYCH

Kiedy ktoś patrzy z ukrycia...

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ICE COLD/THE KILLING PLACE

Copyright © Tess Gerritsen 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Krzysztof Obłucki 2011

Redakcja: Beata Słama

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Zdjęcie na okładce: LUM3N/Pexels

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

Równina Aniołów, Idaho

Została wybrana.

Przyglądał się uważnie tej dziewczynie od chwili, gdy przyjechała z rodziną do osady. Jej ojciec, George Sheldon, kiepski stolarz, pracował razem z ekipą budowlaną. Matka, nijaka kobiecina o przeciętnej twarzy, została przydzielona do pomocy w piekarni, którą tu mieli. Oboje byli bezrobotni i zdesperowani, gdy przypadkiem trafili do jego kościoła w Idaho Falls, szukali pociechy i zbawienia. Jeremiaś spojrział im wtedy w oczy i zobaczył to, co chciał widzieć: zagubione dusze w pogoni za kotwicą, jakąkolwiek kotwicą.

Dojrzali do żniw.

Teraz Sheldonowie i ich córka Katie mieszkali w chacie C w nowo powstałym Zgromadzeniu Kalwaryjskim. W każdy sabat siadali w wyznaczonej ławce w czternastym rzędzie. Na podwórzu przed domem posadzili malwy i słoneczniki, takie same wesołe kwiatki, jakie rosły w ogródkach przed pozostałymi domami. Na wiele sposobów wtapiali się w sześćdziesiąt cztery rodziny tworzące Zgromadzenie, pracujące razem, modlące się razem i łamiące chlebem w wieczór każdego sabatu.

Pod jednym wszakże szczególnym względem Sheldonowie

różnili się od innych: mieli wyjątkowo piękną córkę. Córkę, od której nie potrafił oderwać oczu.

Jeremiah obserwował ją przez okno, gdy stała na szkolnym boisku. Był środek przerwy, uczniowie hasali na dworze w ciepły wrześnieowy dzień, chłopcy w białych koszulach i czarnych spodniach, dziewczynki w długich pastelowych sukienkach. Wyglądali na zdrowych i opalonych, czyli tak, jak powinny wyglądać wszystkie dzieci. Nawet pośród przypominających łabędzie dziewcząt Katie Sheldon wyróżniała się niesfornymi lokami i dźwięcznym, głośnym śmiechem. Jakże szybko dziewczęta się zmieniają, pomyślał. Wystarczył rok, by z dziecka przemieniła się w smukłą młodą kobietę. Jej lśniące oczy, połyskujące włosy i zaróżowione policzki to oznaki płodności.

Przystanęła z dwoma innymi dziewczętami w cieniu dębu. Wszystkie pochylały głowy niczym trzy gracje szepczące sobie sekrety. Wokół nich boisko szkolne kipiało energią, uczniowie pokrzykiwali, grali w klasy i kopali piłkę.

Nagle spostrzegł chłopaka idącego w kierunku trzech dziewczyn i zmarszczył czoło. Chłopiec miał około piętnastu lat, strzechę jasnych włosów i długie nogi w za krótkich już spodniach. W połowie dziedzińca przystanął, jakby zbierał się na odwagę, by iść dalej. A potem podniósł głowę i ruszył prosto do dziewcząt. Do Katie.

Jeremiah przybliżył się do okna.

Gdy chłopak podchodził, Katie spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Był to słodki niewinny uśmiech poślany koledze z klasy, ale ten kolega z klasy prawie na pewno miał jedno w głowie. O tak, Jeremiah mógł się domyślać, co zaprzętało myśli tego młodzieńca. Grzech. Brudy. Katie i chłopak o czymś rozmawiali, podczas gdy pozostałe dwie dziewczynki cicho się oddaliły. Rozmowę zagłuszał harmider

panujący na szkolnym dziedzińcu, ale Jeremiaś spostrzegł, że Katie w skupieniu odchyliła do tyłu głowę i kokietyryjnie strzepnęła włosy z ramienia. Widział, że chłopak się pochyla, jakby ją wąchał i delektował się jej zapachem. Czy to nie bachor McKinnonów? Adam, Alan czy jakoś tak. W osadzie mieszka teraz tyle rodzin i tak dużo dzieci, że nie mógł spamiętać wszystkich imion. Wpatrywał się w nich z góry, zaciskając palce na ramie okna tak mocno, że paznokcie wbijały się w farbę.

Obrócił się na pięcie, wyszedł z pokoju i głośno tupiąc, zbiegł po schodach. Z każdym krokiem jego szczeka zaciskała się coraz mocniej, a kwas wypalał dziurę w żołądku. Wypadł jak burza z budynku, ale zatrzymał się gwałtownie przy bramie dziedzińca szkoły i próbował odzyskać panowanie nad sobą.

To nie załatwi sprawy. Okazywanie gniewu jest czymś nie do pomyślenia.

Rozległ się dzwonek szkolny ogłaszający koniec przerwy. Jeremiaś stał, starał się opanować, i głęboko oddychał. Skupił się na woni świeżo skoszonego siana i rozchodzącym się z pobliskiej kuchni Zgromadzenia zapachu świeżego chleba. Z drugiej strony dziedzińca, gdzie budowano nowe oratorium, dochodziły pojękiwania piły i stukot kilkunastu młotków wbijających gwoździe. Zaczne odgłosy uczciwej pracy, wspólnego wysiłku społeczności ku chwale Pana. A ja jestem ich pasterzem, pomyślał, ja ich prowadzę. Wystarczy tylko popatrzeć, jak daleko zaszli! Jeden rzut oka na rozbudowujące się osiedle, na dwanaście domów w budowie, i jest jasne, że Zgromadzenie kwitnie.

W końcu otworzył bramę i wszedł na dziedziniec. Minął salę pierwszoklasistów śpiewających piosenkę o alfabecie i wszedł do klasy, w której uczyły się dzieci w wieku gimnazjalnym.

Nauczycielka zobaczyła go i zaskoczona, zerwała się na równe nogi zza biurka.

– Prorok Goode, za co zaszczyt! – wysapała. – Nie wiedziałam, że nas dzisiaj odwiedzisz.

Uśmiechnął się, a kobieta poczerwieniała uszczęśliwiona uwagą, jaką jej poświęcił.

– Siostró Janet, nie ma powodu, by robić zamieszanie w związku z moją osobą. Chciałem po prostu zajść tu i przywitać się z twoją klasą. A także przekonać się, czy wszyscy są zadowoleni z nowego roku szkolnego.

Jaśniejąc, nauczycielka zwróciła się do uczniów:

– Czy to nie zaszczyt, że sam prorok Goode nas odwiedza? Proszę, przywitajmy go wszyscy!

– Dzień dobry, proroku Goode! – odpowiedzieli uczniowie jednym głosem.

– Czy rok szkolny dobrze się zaczął dla was wszystkich? – zapytał.

– Tak, proroku Goode – znów odpowiedzieli unisono. Zabrzmiało to tak doskonale, jakby wcześniej mieli próby.

Katie Sheldon, co zauważył, siedziała w trzecim rzędzie. Zauważył też, że blondas, który z nią flirtował, zajmował ławkę niemal dokładnie za nią. Jeremia powoli chodził po klasie, kiwał głową i uśmiechał się, gdy patrzył na przypięte do ścian rysunki i wypracowania uczniów. Jakby naprawdę go interesowały. Jego uwaga była jednak skupiona wyłącznie na Katie, która siedziała skromnie w ławce, ze spuszczoneym wzrokiem, jak przystało na dobrze wychowaną dziewczynę.

– Nie chcę przerywać lekcji – powiedział. – Proszę, kontynuujcie zajęcia. Udawajmy, że mnie tu nie ma.

– Hm, tak. – Nauczycielka odchrząknęła. – Otwórzcie, proszę, ćwiczenia do matematyki na stronie drugiej... nie, trzeciej. Zróbcie zadania od dziesiątego do siedemnastego.

Kiedy skończycie, omówimy prawidłowe rozwiązania.

Gdy ołówki skrobały, a kartki szeleściły, Jeremiaś snuł się po klasie. Uczniowie byli zbyt onieśmieleni, by na niego patrzeć, dlatego nie odrywali oczu od blatów ławek. Zajmowali się algebrą, czymś, czego tak naprawdę Jeremiaś nigdy się nie nauczył. Stał przy ławce blondyna, który wyraźnie okazywał zainteresowanie Katie, zerknął mu przez ramię i przeczytał jego nazwisko napisane na zeszytce. Adam McKinnon. Rozrabiaka, z którym w końcu będzie musiał się rozprawić.

Przeszedł do ławki Katie, zatrzymał się i teraz patrzył ponad jej ramieniem. Nerwowo wpisała odpowiedź, a potem wytarła ją gumką. Jej włosy rozdzieliły się, odsłaniając kawałek karku. Skórę miała bardzo zaczerwienioną, jakby jego wzrok ją parzył.

Pochylając się niżej, wciągnął jej zapach. Ciepło zalało mu łedźwie. Nie ma większego delikatesu niż zapach ciała młodej dziewczyny, a tej akurat jest najśłodszy ze wszystkich. Przez tkaninę sukienki widział zarys krągłości jej rosnących od niedawna piersi.

– Nie przejmuj się tym za bardzo, moja droga – wyszeptał.
– Sam też nigdy nie byłem zbyt dobry z algebry.

Podniosła wzrok, a uśmiech, który mu posłała, był tak czarujący, że go zatkało. Tak. Ta dziewczyna jest definitywnie tą, o którą chodzi.

□ □ □

Kwiaty i wstążki dekorowały ławki i zwisały kaskadami z belek nowo wybudowanego oratorium. Bukietów było tyle, że pomieszczenie wyglądało jak rajski ogród, wonny i skrzący się kolorami. Gdy światło poranka wpadało przez okrągłe okna, dwieście radosnych głosów śpiewało nabożne hymny.

Należymy do Ciebie, o Panie. Dostatnia jest Twa trzoda i obfite Twe żniwa.

Gdy nagle organy zagrały fanfarę, głosy ucichły. Członkowie Zgromadzenia odwrócili głowy i patrzyli na Katie Sheldon, która stała nieruchomo w wejściu i mrugała, skrzepowana tym, że przyciągnęła uwagę wszystkich obecnych. Ubrana była w białą sukienkę ozdobioną koronką, uszytą przez matkę. Spod jej rąbka wystawały zupełnie nowe białe, satynowe pantofle. Na głowie miała dziewiczy wianek z białych róż. Organy grały, Zgromadzenie czekało cierpliwie, ale Katie nie mogła się ruszyć. Nie chciała się ruszyć.

Dopiero ojciec zmusił ją do zrobienia pierwszego kroku. Wziął ją pod rękę, wbił palce w jej ciało, jednoznacznie dając do zrozumienia, że ma być posłuszna. Nie narób mi wstydu.

Zaczęła iść. Stopy w ślicznych satynowych pantofelkach miała zdrętwiałe, gdy przesuwiała się w stronę majaczącego przed nią ołtarza. Szła ku mężczyźnie, którego sam Bóg wybrał jej na męża.

Kątem oka widziała znajome twarze w ławkach: nauczycieli, przyjaciółek, sąsiadów. Była tam siostra Diane, pracująca w piekarni z jej matką, i brat Reymond zajmujący się krowami, których miękkie boki lubiła poklepywać. Spostrzegła również matkę stojącą w pierwszej ławce, gdzie nigdy wcześniej jej nie widziała. To miejsce honorowe, rząd, w którym mogli siadać jedynie najbardziej uprzywilejowani członkowie Zgromadzenia. Matka wyglądała na dumną, och, jak bardzo dumną, stała niczym królowa w koronie z róż.

– Mamusiu – wyszeptała Katie. – Mamusiu.

Ale zebrani rozpoczęli następny hymn i nikt jej nie usłyszał. Zagłuszyli ją.

Przy ołtarzu ojciec wreszcie puścił jej ramię.

– Bądź grzeczna – wymamrotał i odszedł, by dołączyć do

matki.

Katie odwróciła się, żeby za nim podążyć, ale droga ucieczki została odcięta.

Przed nią stał prorok Jeremiaś Goode. Wziął ją za rękę.

Jakże gorące wydawały się jego palce na jej chłodnej skórze. I jak wielka była jego ręka ściskająca jej dłoń. Można było pomyśleć, że wpadła w pułapkę olbrzymia.

Zgromadzenie zaczęło śpiewać pieśń weselną. *Radosny związek, pobłogosławiony w niebiesiech, związani na zawsze w Jego oczach.*

Prorok Goode przyciągnął Katie do siebie. Aż jęknęła z bólu, gdy jego palce zacisnęły się na jej ramieniu niczym szpony. „Jesteś teraz moja, związana ze mną z woli Boga – zdawał się mówić jego uścisk. – Będziesz mi posłuszna”.

Spojrzała na ojca i matkę. W milczeniu błagała ich, żeby ją stąd zabrali i zaprowadzili do domu, gdzie jej miejsce. Ale oboje promienieli skupieni na śpiewie. Omiatając wzrokiem oratorium, szukała kogoś, kto ją wyciągnie z tego koszmaru, lecz widziała jedynie morze aprobujących uśmiechów i kiwających głów. I salę, w której promienie słońca igrały na płatkach kwiatów, gdzie dwie setki gardeł rozbrzmiewały pieśnią.

Salę, gdzie nikt nie słyszał, nikt nie chciał usłyszeć milczącego krzyku trzynastoletniej dziewczynki.

Rozdział drugi

Szesnaście lat później

Ich związek dobiegał kresu, ale żadne z nich by się do tego nie przyznało. Woleli rozmawiać o zalanych deszczem ulicach i o tym, jak fatalne były rano korki, o prawdopodobieństwie opóźnienia lotu z lotniska Logana. Nie wspominali słowem o tym, co zaprzętało ich myśli, choć Maura Isles słyszała to w głosie Daniela Brophy'ego, jak również we własnym, obu brzmiących bezbarwnie i stłumionych. Oboje bardzo się wysilali, by podtrzymać fikcję, że nic się między nimi nie zmieniło. Nie, byli po prostu zmęczeni po nieprzespaniu połowy nocy, tkwili w bolesnej pułapce rozmowy będącej przewidywalnym zwieńczeniem uprawiania miłości. Rozmowy, po której Maura zawsze odczuwała niedosyt i napięcie.

„Gdybyś tylko mógł zostawać ze mną każdej nocy. Gdybyśmy mogli budzić się razem co rano”.

„Masz mnie tu i teraz, Mauro”.

„Ale nie całego. Nie, dopóki się nie zdecydujesz”.

Patrzyła przez okno na samochody przedzierające się przez ulewę. Daniel nie potrafił się zdecydować, pomyślała. A nawet gdyby wybrał mnie, nawet gdyby porzucił stan kapłański,

zostawił umiłowany Kościół, zawsze towarzyszyłoby nam poczucie winy, wgapiło się w nas niczym niewidzialna kochanka. Patrzyła, jak wycieraczki na szybach rozcierają wodę. Surowe światło na dworze pasowało do jej nastroju.

– Będziesz prawie na styk – powiedział. – Odprawiłaś się przez internet?

– Wczoraj. Mam już kartę pokładową.

– W porządku. To ci zaoszczędzi kilka minut.

– Ale i tak będę musiała nadać walizkę. Zimowe ubrania nie zmieściły mi się do bagażu podręcznego.

– Dla każdego byłoby raczej oczywiste, że na konferencję lekarzy wybiorą jakieś ciepłe i słoneczne miejsce. Dlaczego Wyoming w listopadzie?

– Jackson Hole jest uważane za piękne miejsce.

– Bermudy też.

Odważyła się na niego spojrzeć. W poświęceniu samochodowych reflektorów nie było widać zmarszczek na jego twarzy, niemniej dostrzegła coraz więcej siwizny w jego włosach. Jak bardzo się postarzeliśmy w ciągu roku, pomyślała. Miłość postarzyła nas oboje.

– Kiedy wrócę, pojedźmy razem do jakiegoś ciepłego zakątka – powiedziała. – Tylko na weekend. – Roześmiała się ostentacyjnie. – A co tam, do cholery, zapomnijmy o świecie i wyjedźmy na cały miesiąc.

Milczał.

– A może proszę o zbyt wiele? – zapytała łagodnie.

Westchnął ciężko.

– Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy chcieli, ten świat zawsze tu będzie. I będziemy musieli do niego wrócić.

– Niczego nie musimy.

Posłał jej dojmująco smutne spojrzenie.

– Sama w to nie wierzysz, Mauro. – Przeniósł wzrok na

jezdnię. – Podobnie jak ja.

Nie, pomyślała. Oboje za wszelką cenę chcemy być cholernie odpowiedzialni. Codziennie chodzę do pracy, płacę na czas podatki i robię to, czego świat ode mnie oczekuje. Mogę sobie paplać o uciekaniu z nim, popełnianiu szaleństw, ale wiem, że nigdy się na to nie zdobędę. Daniel też nie.

Podjechał pod terminal odlotów. Przez chwilę siedzieli, nie patrząc na siebie. Ona skupiła wzrok na innych podróżnych kłębiących się przed wejściem, poowijanych w płaszcze przeciwdeszczowe, niczym żałobnicy zebrani w burzowy listopadowy ranek na pogrzebie. Nie miała najmniejszej ochoty wysiąść z ciepłego samochodu i dołączyć do przygnębiającego tłumu pasażerów. Zamiast iść do samolotu, mogłabym poprosić go, żeby zawiózł mnie z powrotem do domu, pomyślała. Gdybyśmy mieli jeszcze kilka godzin na przegadanie tego wszystkiego, może udałoby nam się znaleźć sposób, by między nami znowu dobrze się układało.

Kostki dłoni zastukały w przednią szybę. Podniosła wzrok i zobaczyła policjanta wpatrującego się w nich oboje.

– To miejsce tylko dla wysiadających – szczerknął. – Proszę odjechać.

Daniel opuścił szybę.

– Ta pani odlatuje. Właśnie wysiada.

– Tylko niech to nie trwa cały dzień.

– Wezmę twoje bagaże – powiedział Daniel i wysiadł z wozu.

Przez chwilę stali przy krawężniku, trzęsąc się z zimna, milczący wśród kakofonii warkoczących autobusów i gwizdków policjantów kierujących ruchem. Gdyby był moim mężem, pomyślała, pocałowalibyśmy się teraz na pożegnanie. Ale od zbyt dawna skrupulatnie unikali jakiegokolwiek wyrażania emocji w miejscach publicznych i choć Daniel nie

miał na sobie tego ranka koloratki, nawet uścisk wydawał się niebezpieczny.

– Nie muszę jechać na tę konferencję – odezwała się. – Moglibyśmy spędzić ten tydzień razem.

Westchnął.

– Nie mogę zniknąć, ot tak, na tydzień, Mauro.

– A kiedy będziesz mógł?

– Potrzebny mi czas, żeby wszystko zaaranżować. Wyjedziemy, obiecuję.

– I zawsze to musi być gdzieś indziej, prawda? Gdzieś, gdzie nikt nas nie zna. Raz chciałabym spędzić z tobą tydzień bez konieczności wyjeżdżania dokądkolwiek.

Daniel zerknął na policjanta, który szedł w ich kierunku.

– Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu, po twoim powrocie.

– Hej! Człowieku! – wrzasnął policjant. – Niech pan odjedzie, i to zaraz.

– Oczywiście, że porozmawiamy. – Roześmiała się. – Rozmawianie o tym bardzo dobrze nam idzie, prawda? Bo wygląda na to, że tylko do tego się ograniczamy. – Wzięła walizkę.

Sięgnął do jej ramienia.

– Mauro, proszę. Nie rozstawajmy się w taki sposób. Wiesz, że cię kocham. Potrzebuję tylko czasu, by jakoś to rozpracować.

Zobaczyła ból malujący się na jego twarzy. Wszystkie miesiące oszukiwania, poczucia winy i niezdecydowania zostawiły blizny, kładły się cieniem na każdy okrucieństwo radości, jaki przy niej znajdował. Mogłaby pocieszyć go choćby uśmiechem, ścisnąć za ramię, żeby dodać mu otuchy, ale w tej chwili nie mogła zapomnieć o własnym cierpieniu. Myślała tylko o odwecie.

– Czas ucieka – powiedziała i weszła do terminalu. Gdy szklane drzwi zamknęły się za nią ze świstem, pożałowała swoich słów. Ale gdy zatrzymała się i spojrzała za siebie, Daniel już wsiadał do samochodu.

□ □ □

Nogi mężczyzny były rozsunięte na boki, odsłaniały rozerwane jądra i poparzoną skórę pośladków i krocza. Zdjęcia z kostnicy ukazywały się na ekranie bez żadnego ostrzeżenia ze strony prelegenta, mimo to nikt z siedzących w zaciemnionej sali konferencyjnej hotelu nawet nie jęknął z przerażenia. Słuchacze byli bowiem przyzwyczajeni do widoku okaleczonych martwych ludzi. Dla tych, którzy widzieli trupy i dotykali zwęglonych ciał, którzy znali ich smród, pokaz przezroczy w sterylnych warunkach nie mógł być straszny. Prawdę mówiąc, siwowłosego mężczyznę siedzącego obok Maury zapadał kilkakrotnie w drzemkę. W panującym półmroku widziała, jak głowa opada mu i unosi się gwałtownie, gdy zmagał się z sennością, zupełnie niewrażliwy na grozę bijącą ze zdjęć jaśniejszych na ekranie.

– Widzicie tu państwo typowe obrażenia po wybuchu bomby podłożonej w samochodzie. Ofiarą był czterdziestopięcioletni rosyjski biznesmen, który wsiadł pewnego ranka do mercedesa... bardzo ładnego mercedesa, pozwolę sobie zauważyć. Kiedy przekreślił kluczyk w stacyjce, uzbroidł bombę pułapkę znajdującą się pod jego fotelem. Jak widać na zdjęciach rentgenowskich... – Prelegent kliknął myszką i na ekranie pokazał się kolejny obraz z PowerPointa. Było to zdjęcie miednicy rozłupanej w miejscu, gdzie znajduje się kość łonowa. Odłamki kości i metalu powbijały się w tkankę miękką. – Siła wybuchu wbiła mu części samochodu prosto w krocze, rozrywając mosznę i niszcząc guzy

kulshowe. Ze smutkiem stwierdzam, że coraz częściej mamy do czynienia z obrażeniami po materiałach wybuchowych, jak w tym przypadku, zwłaszcza w naszej epoce ataków terrorystycznych. Ta bomba była niewielka, miała zabić tylko kierowcę. W przypadku aktów terrorystycznych ładunki są znacznie potężniejsze a ich ofiary liczniejsze.

Znow kliknął myszką i pokazało się zdjęcie wyciętych organów, lśniących niczym oferta sklepu mięsnego, ułożonych na zielonym płótnie chirurgicznym.

– Czasami nie ma wielu zewnętrznych oznak uszkodzeń, podczas gdy obrażenia wewnętrzne bywają śmiertelne. To efekt bomby zamachowca samobójcy zdetonowanej w jednej z kawiarni w Jerozolimie. Czternastoletnia dziewczyna ucierpiała od zmasowanych wstrząsów, które uszkodziły jej płuca i spowodowały perforację wnętrza. Mimo to jej twarz pozostała nietknięta. Niemal anielska.

Kolejne zdjęcie wywołało pierwszą słyszalną reakcję uczestników konferencji: szepty pełne smutku i niedowierzania. Dziewczyna wydawała się spokojnie odpoczywać, jej nieskazitelna twarz nie wyrażała najmniejszego zaniepokojenia czy troski, ciemne otwarte oczy patrzyły spod długich, gęstych rzęs. Jak się okazało, to nie krwawa jatka zaszokowała grupę patologów, lecz piękno. W wieku czternastu lat, w chwili śmierci, myślała może o odrobieniu lekcji. Albo ładnej sukience. Albo o chłopcu, którego spostrzegła na ulicy. Nie wyobrażała sobie, że jej płuca, wątroba i śledziona znajdują się niedługo na stole autopsyjnym ani tego, że pewnego dnia dwustu patologów będzie wpatrywało się w jej zdjęcie.

Kiedy zapalono światło, na sali wciąż panowała cisza. Podczas gdy inni wychodzili, Maura została na miejscu i patrzyła na notatki, które zrobiła o bombach wypełnionych

gwoździami, ukrytych w paczkach, w samochodach i pod ziemią. Gdy chodzi o zadawanie cierpienia, ludzka pomysłowość nie zna granic. Jesteśmy tacy skuteczni w zabijaniu się nawzajem, pomyślała, a tak żałośnie nie radzimy sobie z miłością.

– Przepraszam. Czy przypadkiem jest pani Maurą Isles?

Podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę, który wstawał z krzesła dwa rzędy przed nią. Był mniej więcej w jej wieku, wysoki i wysportowany, mocno opalony, miał rozjaśnione słońcem blond włosy, na których widok pomyślała odruchowo: chłopak z Kalifornii. Jego twarz wydała się jej niejasno znajoma, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie go widziała, co ją zaskoczyło. Twarz taką jak jego każda kobieta z pewnością by zapamiętała.

– Wiedziałem! To ty, prawda? – Roześmiał się. – Gdy weszłaś do sali, tak pomyślałem.

Maura pokręciła głową.

– Przepraszam. To naprawdę krępujące, ale mam kłopot z umiejscowieniem cię.

– To dlatego, że widzieliśmy się bardzo dawno temu. I nie noszę już kitki. Doug Comley, zajęcia przygotowujące do studiów medycznych w Stanfordzie. To było... Ile? Dwadzieścia lat temu? Nie dziwię się, że o mnie zapomniałaś. Cholera, sam bym o sobie zapomniał.

Nagle stanął jej przed oczami młody mężczyzna o długich blond włosach i w okularach przeciwsłonecznych na nosie spalonym słońcem. Wtedy był znacznie szczuplejszy, chudzielec w dżinsach.

– Mieliśmy razem laboratorium? – zapytała.

– Analiza ilościowa. Pierwszy rok.

– Pamiętasz, mimo że minęło dwadzieścia lat? Jestem zdumiona.

– Nie pamiętam ani jednego szczegółu z przeklętej analizy ilościowej. Ale ciebie pamiętam bardzo dobrze. Miałas stanowisko w laboratorium dokładnie naprzeciwko mnie i zawsze dostawałaś najlepsze oceny w grupie. Potem studiowałaś na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Francisco?

– Tak, ale teraz mieszkam w Bostonie. A co się działo z tobą?

– Uniwersytet Kalifornijski w San Diego. Nie potrafiłem zmusić się do wyjazdu z Kalifornii. Jestem uzależniony od słońca i surfingu.

– Dla mnie brzmi to całkiem nieźle, szczególnie w tej chwili. Dopiero listopad, a ja już mam dość zimna.

– Mnie tam śnieg się podoba. Mnóstwo z nim uciechy.

– Mówisz tak dlatego, że nie musisz go znosić przez cztery miesiące w roku.

Sala konferencyjna opustoszała. Pracownicy hotelu składali krzesła i wywozili sprzęt nagłaśniający. Maura wsunęła notes do torby i wstała. Gdy szli z Dougiem równoległymi rzędami w kierunku wyjścia, zapytała:

– Będziesz na koktajlu wieczorem?

– Myślę, że będę. Ale kolację mamy jeść każdy we własnym zakresie, prawda?

– Tak napisali w programie.

Razem przeszli do lobby, w którym kłębił się tłum lekarzy z białymi identyfikatorami i takimi samymi torbami z konferencji. Gdy czekali na windę, oboje bardzo się starali, by podtrzymać rozmowę.

– Więc przyjechałaś tu z mężem? – zapytał.

– Nie jestem zamężna.

– Czy w magazynie absolwentów nie informowali o twoim ślubie?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Interesujesz się takimi sprawami?
- Ciekawi mnie, co się dzieje z kolegami z jednej grupy.
- Rozwiodłam się. Cztery lata temu.
- Och, współczuję.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ma powodu.

Wjechali windą na trzecie piętro, gdzie oboje wysiedli.

– Do zobaczenia na koktajlu – rzuciła, machając mu na pożegnanie. Wyjęła kartę do pokoju.

– Idziesz z kimś na kolację? Bo tak się składa, że jestem akurat wolny. Gdybyś chciała do mnie dołączyć, znalazłbym jakąś dobrą restaurację. Wystarczy, że zadzwonisz.

Odwróciła się, żeby mu odpowiedzieć, ale on szedł już korytarzem z torbą konferencyjną na ramieniu. Kiedy za nim patrzyła, niespodziewanie przypomniała sobie innego Douglasa Comleya. Zobaczyła go w dżinsach, idącego o kulach przez czworokątny dziedziniec kampusu.

– Czy nie złamałeś nogi w tamtym roku?! – zawołała za nim. – Wydaje mi się, że to było tuż przed końcowymi egzaminami.

Odwrócił się do niej i zaczął się śmiać.

- To właśnie o mnie zapamiętałaś?
- Teraz zaczynam sobie wszystko przypominać. Miałeś wypadek na nartach czy coś w tym rodzaju.
- Coś w tym rodzaju.
- Więc to nie był wypadek na nartach?
- O rany. – Pokręcił głową. – To stanowczo zbyt krępujące, żeby o tym mówić.
- O nie. Teraz musisz mi powiedzieć.
- Pod warunkiem że zjesz ze mną kolację.

Nie odezwała się, bo akurat przyjechała winda i wysiadło

z niej dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna. Ruszyli korytarzem, obejmując się; najwyraźniej nie obawiali się afiszowania z tym, że są razem. Tak właśnie pary powinny się zachowywać, pomyślała, gdy tamtych dwoje zniknęło w pokoju i zamknęło za sobą drzwi.

Spojrzała na Douglasa.

– Chciałabym usłyszeć tę historię.

Rozdział trzeci

Wymknęli się wcześniej z koktajlu patologów i jedli kolację w Four Seasons w Teton Village. Po ośmiu godzinach wykładów o dźganiu nożami i bombach, kulach i muchach plujkach Maura miała powyżej uszu rozmów o śmierci i z ulgą uciekła do normalnego świata, gdzie w czasie towarzyskiej pogawędki nie mówiło się o procesie gnilnym, gdzie najpoważniejszym tematem wieczoru był wybór pomiędzy winem czerwonym i białym.

– No więc w jaki sposób złamałeś nogę w Stanfordzie? – zapytała, podczas gdy Doug kręcił kieliszkiem z pinot noir.

Skrzywił się.

– Miałem nadzieję, że zapomnisz o tej sprawie.

– Obiecałeś, że mi opowiesz. Tylko dlatego poszłam z tobą na kolację.

– A nie z powodu mojego błyskotliwego poczucia humoru? Mojego chłopięcego uroku?

Roześmiała się.

– Cóż, to też. Ale przede wszystkim chodzi mi o historię złamanej nogi. Mam przeczucie, że będzie niesamowita.

– W porządku. – Westchnął. – Powiedzieć ci prawdę? Wygłupiałem się na dachu w Wilbur Hall i spadłem.

Wpatrywała się w niego.

- Dobry Boże, to całkiem wysoko.
- Sam się o tym przekonałem.
- Przypuszczam, że nie obyło się bez alkoholu?
- No jasne.
- Więc to był zwykły studencki wygłup.
- Dlaczego wydaje mi się, że jesteś rozczarowana?
- Spodziewałam się czegoś bardziej... och... niezwykłego.
- No cóż, pomiąłem kilka szczegółów – wyznał.
- Takich jak...
- Strój ninja, który miałem na sobie. I czarną maskę.

I plastikowy miecz. – Wzruszył ramionami, trochę zawstydzony. – Nie wspomniałem też o bardzo upokarzającej jeździe karetką.

Obrzuciła go zimnym spojrzeniem profesjonalistki.

– Do dzisiaj lubisz się przebierać za ninja?
 – Widzisz? – Wybuchnął krótkim śmiechem. – Właśnie dlatego jesteś taka onieśmielająca! Każdy inny człowiek by się ze mnie śmiał, a ty reagujesz bardzo logicznym, bardzo trzeźwym pytaniem.

– A jest na to trzeźwa odpowiedź?

– Ani jednej, cholera. – Uniósł kieliszek w toaście. – Za głupie studenckie błazeństwa. Żebyśmy nigdy o nich nie zapomnieli.

Upiła łyk wina i odstawiła kieliszek.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o onieśmielaniu?

– Zawsze taka byłaś. No bo weźmy mnie: przygłupi chłopak, zaliczający jakoś na studiach rok za rokiem. Imprezujący do późna, ciągle niewyspany. A ty... ty zawsze byłaś taka poważna, Mauro. Wiedziałaś dokładnie, kim chcesz zostać.

– I to robi ze mnie kogoś onieśmielającego?

– A nawet trochę strasznego. Bo wszystko miałaś

poukładane, czego w żaden sposób nie da się powiedzieć o mnie, cholera.

– Nie miałam pojęcia, że ludzie tak mnie odbierali.

– Nadal tak cię odbierają.

Zastanowiła się nad tym. Pomyślała o policjantach, którzy natychmiast milkną, gdy zjawia się na miejscu popełnienia przestępstwa. Przypomniła sobie przyjęcie bożonarodzeniowe, kiedy rozsądnie ograniczyła się do jednego kieliszka szampana, podczas gdy reszta po prostu się schlała. Doktor Maura Isles nigdy nie pozwoliłaby, żeby ktoś zobaczył ją pijaną, wygłupiającą się albo lekkomyślną. Ludzie widzą ją taką, jaką chce im pokazać: kobietę w pełni się kontrolującą. Kobietę, która ich przeraża.

– To, że ktoś jest poważny, trudno uznać za jego wadę – próbowała się bronić. – Na tym świecie tylko tak można coś osiągnąć.

– Więc pewnie dlatego osiągnięcie czegokolwiek zajęło mi tyle czasu.

– Dostałeś się na studia medyczne.

– W końcu. Po dwóch latach objawiania się, co doprowadzało mojego ojca do rozpacz. Pracowałem jako barman w Bai. Uczyłem surfingu w Malibu. Palilem za dużo trawki i piłem mnóstwo podłego wina. To było wspaniałe. – Uśmiechnął się. – Pani doktor by tego nie zaaprobowała.

– Sama nigdy nie pozwoliłabym sobie na coś takiego. – Wypiła łyk wina. – W każdym razie nie wtedy.

Uniósł brwi.

– Czy to znaczy, że teraz byś to zrobiła?

– Ludzie się zmieniają, Doug.

– Tak, wystarczy popatrzeć na mnie! Do głowy by mi nie przyszło, że któregoś dnia skończę jako nudny patolog tkwiący w pułapce szpitalnej piwnicy.

– Ale jak do tego doszło? Jakim cudem z plażowego obiboka zmieniłeś się w szanowanego lekarza?

Przerwali rozmowę, bo kelner przyniósł im jedzenie: pieczoną kaczkę dla Maury i kotlety jagnięce dla Douga. Siedzieli bez słowa w trakcie obowiązkowego mielenia pieprzu i ponownego napełniania kieliszków. Dopiero po odejściu kelnera Doug odpowiedział na jej pytanie:

– Ożeniłem się.

Nie zauważyła obrączki na palcu Douga, poza tym były to jego pierwsze słowa o jakimkolwiek związku. Zaskoczona tym odkryciem, spojrzała na niego, ale nie patrzył na nią, tylko wpatrywał się w rodzinę z dwoma małymi dziewczynkami siedzącą przy innym stoliku.

– Od początku zupełnie do siebie nie pasowaliśmy – przyznał. – Poznałem ją na imprezie. Cudowna blondynka, niebieskie oczy, nogi do samego nieba. Słyszała, że chcę się dostać na medycynę i od razu zobaczyła się w roli żony bogatego lekarza. Nie zdawała sobie sprawy, że przyjdzie jej samotnie spędzać weekendy, kiedy pracowałem w szpitalu. Zanim skończyłem staż patologa, znalazła sobie kogoś innego. – Zaczął kroić kotlet. – Ale muszę wychowywać Grace.

– Grace?

– To moja córka. Ma trzynaście lat i jest tak wspaniała jak jej mama. Mam tylko nadzieję, że uda mi się pchnąć ją w rozsądniejszym kierunku, niż poszła jej matka.

– A gdzie teraz jest twoja była żona?

– Wyszła za męż. Za bankiera. Mieszkają w Londynie i można powiedzieć, że mamy szczęście, jeśli odezwie się dwa razy do roku. – Odłożył nóż i widelec. – W ten sposób stałem się mamą. Mam teraz córkę, hipotekę i pracę w urzędzie do spraw weteranów w San Diego. Czy można chcieć więcej?

– I jesteś szczęśliwy?

Wzruszył ramionami.

– Nie tak wyobrażałem sobie przyszłość, kiedy byłem w Stanfordzie i udawałem ninja na dachu. Ale nie narzekam. Życie idzie naprzód i trzeba się jakoś dostosowywać. – Uśmiechnął się. – Szczęściara, ty dokładnie zrealizowałaś to, co chciałaś. Zawsze chciałaś być patologiem i proszę bardzo.

– Chciałam też wyjść za mąż. I to zupełnie mi się nie udało.

Wpatrywał się w nią.

– Aż trudno uwierzyć, że nie ma teraz w twoim życiu żadnego mężczyzny.

Przesunęła kawałek kaczki po talerzu. Nagle straciła apetyt.

– Prawdę mówiąc, spotykam się z kimś.

Doug pochylił się, wyrażając uwagę.

– Powiedz coś więcej.

– To trwa mniej więcej od roku.

– Brzmi poważnie.

– Nie jestem pewna. – Jego spojrzenie zbijało ją z tropu, dlatego przeniosła wzrok na talerz. Czuła, że Doug się w nią wpatruje, próbując wyczytać w jej twarzy to, czego mu nie zdradziła. Niezobowiązująca pogawędka zmieniła się w rozmowę o bardzo osobistych sprawach. Skalpele do sekcji zostały wyciągnięte, tajemnice zaczęły się odsłaniać.

– Czy to na tyle poważne, że zabrzmią weselne dzwony? – zapytał.

– Nie.

– Dlaczego nie?

Spojrzała na niego.

– Bo nie jest dostępny.

Doug odchylił się na krześle najwyraźniej zaskoczony.

– Nigdy bym nie pomyślał, że ktoś, kto ma tak poukładane

w głowie jak ty, może zakochać się w żonatym facecie.

Chciała wyprowadzić go z błędu, ale dała sobie spokój. Praktycznie rzecz biorąc, Daniel Brophy rzeczywiście jest żonatym mężczyzną, ślubował swojemu Kościołowi. A nie ma bardziej zazdrosnej, bardziej wymagającej żony. Miałaby znacznie większe szanse, gdyby był po prostu związany z kobietą.

– Myślę, że nie jestem aż tak poukładana, jak ci się wydaje – powiedziała.

Roześmiał się zdumiony.

– Musisz mieć w sobie żyłkę szaleństwa, o którą nigdy cię nie podejrzewałem. Jakim cudem uszło to mojej uwagi w Stanfordzie?

– To było tak dawno temu.

– Trzon osobowości tak naprawdę nigdy się nie zmienia.

– Ty się zmieniłeś.

– Nie. Pod marynarką Brooks Brothers nadal bije serce plażowego obiboka. Medycyna to po prostu moja praca. Pozwala mi opłacać rachunki. Ale tak naprawdę jestem inny.

– A kim twoim zdaniem ja jestem?

– Tą samą osobą, którą byłeś w Stanfordzie. Kompetentną. Poważną. Nie taką, która popełnia błędy.

– Chciałabym, żeby to była prawda. Chciałabym nie popełniać błędów.

– Ten mężczyzna, z którym się widzisz... Czy on jest błędem?

– Nie jestem jeszcze gotowa, żeby tak to określić.

– Żałujesz tego?

To pytanie sprawiło, że zamilkła na chwilę, ale nie dlatego, że nie była pewna odpowiedzi. Wiedziała, że nie jest szczęśliwa. Tak, zdarzały się chwile błogości, gdy słyszała samochód Daniela podjeżdżający pod jej dom albo jego

pukanie do drzwi. Niemniej były też noce, kiedy siedziała samotnie przy stole w kuchni i wypijała zbyt dużo kieliszków wina. Nosi w sobie stanowczo za dużo urazów.

– Nie wiem – odpowiedziała w końcu.

– Ja nigdy niczego nie żałowałem.

– Nawet małżeństwa?

– Nawet katastrofy, jaką okazało się moje małżeństwo. Wierzę, że każde doświadczenie, każda zła decyzja czegoś nas uczy. Dlatego nie powinniśmy bać się popełniania błędów. Rzucam się na wszystko głową w dół i czasami nieźle obrywam. Ostatecznie jednak z każdej sytuacji jest jakieś wyjście.

– Zatem wierzysz w świat.

– O tak. I bardzo dobrze śpię w nocy. Żadnych wątpliwości, żadnych ukrytych niepokojów. Życie jest na to za krótkie. Powinniśmy po prostu zapiąć pasy i cieszyć się z jazdy.

Zjawił się kelner, żeby zabrać talerze. Podczas gdy Maura nie dojadła połowy porcji, Doug zmiotł z talerza wszystko. Pożerał kotlety jagnięce tak samo, jak najwyraźniej pożerał życie, z radosnym zapamiętaniem. Zamówił sernik i kawę na deser, Maura chciała jedynie herbatę rumiankową. Kiedy im to przyniesiono, podzielił sernik między nich oboje.

– No, dalej – zachęcał ją. – Wiem, że masz ochotę.

Śmiejąc się, wzięła widelczyk i odkroiła solidny kawałek.

– Masz na mnie zły wpływ.

– Gdybyśmy wszyscy byli za porządni, jak bardzo życie stałoby się nudne? Poza tym sernik to jedynie pomniejszy grzech.

– Będę musiała odpokutować po powrocie do domu.

– A kiedy wracasz?

– Zostaję do popołudnia w niedzielę. Pomyślałam, że przedłużę pobyt o jeden dzień i obejrzę okolicę. Jackson Hole

jest bardzo malownicze.

– Będziesz zwiedzała sama?

– Chyba że jakiś przystojniak zgłosi się na ochotnika, żeby mnie oprowadzić.

Odgryzł kawałek sernika i jadł przez chwilę w zamyśleniu.

– Nic nie wiem o żadnych przystojniakach – powiedział.

– Ale mogę zaproponować ci coś innego. Moja córka jest tu ze mną. Dziś wieczorem poszła do kina z dwójką moich przyjaciół z San Diego. Chcemy w sobotę pojechać do schroniska górskiego, dość daleko, i zostać tam na noc. Wrócilibyśmy w niedzielę rano. Znajdzie się dla ciebie miejsce w samochodzie. I na pewno będzie też łóżko w schronisku, jeśli chciałabyś do nas dołączyć.

Pokręciła głową.

– Będę jak piąte koło u wozu.

– Przeciwnie. Polubią cię. I moim zdaniem ty też ich polubisz. Arlo jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Za dnia to nudny księgowy, ale wieczorem... – Doug zniżył głos do złowieszczego szeptu – zmienia się w celebrytę znanego jako Tajemniczy Pan Kotlet.

– W kogo?

– Jednego z najpopularniejszych blogerów piszących na necie o jedzeniu i winach. Jadł we wszystkich amerykańskich restauracjach, które mają gwiazdki Michelina, i teraz powoli zalicza Europę. Nazywam go po prostu Szczęki.

Maura się roześmiała.

– Musi być zabawny. A ta druga osoba?

– Elaine. Dziewczyna, z którą chodzi od lat. Ma coś wspólnego z dekorowaniem wnętrz, ale nie wiem dokładnie co. Moim zdaniem od razu przypadniecie sobie do gustu. Poza tym będziesz miała okazję poznać Grace.

Maura wzięła następny kawałek sernika i jadła powoli.

Zastanawiała się.

– Hej, przecież to nie oświadczyły – drażnił się z nią. – To tylko krótki wypad na jedną noc, na którym będziemy mieli przyzwoitkę, czyli moją trzynastoletnią córkę. – Pochylił się w jej stronę i jego niebieskie oczy wpatrywały się w nią z uwagą. – Daj spokój. Moje zwariowane, głupie pomysły prawie zawsze gwarantują dobrą zabawę.

– Prawie zawsze?

– Istnieje coś takiego jak nieprzewidziany czynnik, prawdopodobieństwo, że zdarzy się coś zupełnie niespodziewanego, coś zdumiewającego. Dzięki temu życie staje się przygodą. Czasami po prostu w to wchodzisz i rzucasz się światu w ramiona.

W tej chwili, patrząc mu w oczy, miała wrażenie, że Doug Comley postrzega ją w sposób, w jaki widzi ją niewiele osób. Że przebija się przez jej obronny pancerz i widzi w środku kobietę. Kobietę, która zawsze bała się słuchać głosu serca, bo nie wiedziała, dokąd ją to zaprowadzi.

Spuściła wzrok na talerzyk. Po serniku nie został ślad. Nie pamiętała, kiedy go zjadła.

– Muszę się zastanowić – powiedziała.

– No jasne. – Roześmiał się. – Nie byłabyś Maurą Isles, gdybyś tego nie zrobiła.

□ □ □

Tamtego wieczoru, już po powrocie do hotelu, zadzwoniła do Daniela.

Z tonu jego głosu domyśliła się, że nie jest sam. Uprzejmy, ale bezosobowy, jakby rozmawiał z którymś z parafian. W tle słyszała głosy osób rozprawiających o cenach oleju do ogrzewania, kosztach naprawy dachu, zmniejszonych datkach na tacę. Odbywało się spotkanie w sprawie finansów kościoła.

- Jak tam jest? – zapytał. Miło, ale neutralnie.
- Znacznie zimniej niż w Bostonie. Na ziemi już leży śnieg.
- Tutaj nie przestało padać.
- Wyląduję w niedzielę wieczorem. Jesteś pewny, że możesz odebrać mnie z lotniska?
- Oczywiście, przyjadę.
- A potem? Moglibyśmy zjeść u mnie późną kolację, gdybyś chciał zostać na noc.

Cisza.

- Chyba nie będę mógł. Muszę się zastanowić.

Była to prawie identyczna odpowiedź jak ta, którą wcześniej dała Dougowi. Ale pamiętała, co wtedy powiedział. „Czasami po prostu w to wchodzisz i rzucasz się światu w ramiona”.

- Czy mogę do ciebie zadzwonić w sobotę? – zapytał. – Do tego czasu będę już miał rozkład zajęć.
- W porządku. Ale gdybyś mnie nie zastał, nie martw się. Mogę być poza zasięgiem telefonu.
- W takim razie do usłyszenia.

Nie dodał „kocham cię” na pożegnanie. Powiedział cicho „do widzenia” i rozmowa była skończona. Tylko za zamkniętymi drzwiami mogli pozwolić sobie na jakąkolwiek intymność. Każde spotkanie było dokładnie zaplanowane z wyprzedzeniem, a potem raz po raz analizowane. „Za dużo myślenia”, powiedziałby Doug. A całe to myślenie nie sprawiało, że czuła się szczęśliwsza.

Podniosła słuchawkę hotelowego telefonu. Odezwała się recepcjonistka.

- Czy może mnie pani połączyć z pokojem Douglasa Comleya? – powiedziała.

Odebrał po czwartym dzwonku.

– Halo?

– To ja – odezwała się. – Czy zaproszenie nadal jest aktualne?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).